№ 15. Warszawa, dnia (3) 15 Kwietnia 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1

Za odnoszenie do domu *kop. 10.*

Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25, półrocznie . „ 2.50, rocznie . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Księgarnia Polska Plac Maryacki 11; w Krakowie księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu

Za zmianę adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane" wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa, Chmielna 26.** TELEFON 106.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Rozprawa „O prawdopodobieństwie życia organicznego na księżycu" rozwijała się szybko i dobrze. Wanda z prawdziwie kobiecą cierpliwością czyniła do niej wyciągi ze wszystkich prac, które kiedykolwiek o tym przedmiocie w druku się pojawiły.

Dopomogła jej w robocie znajomość zawarta w jednej z bibliotek publicznych. Do stałych bywalców tej biblioteki należał stary, chuderlawy, zgięty we dwoje i kaszlący człowieczek, nienasycony pożerca książek, obładowany zeszytami i mnóstwem różnych kartek, które zaczerniał nieustannie przy czytaniu. Mól ten upodobał sobie młodą studentkę i na wszelki sposób starał się jej przypodobać.

Panna, z właściwą kobietom przenikliwością odgadła, że to dziwadło w zaplamionym surducie i z krzywymi u butów napiętkami, oddać jej może znaczne usługi. Jakoż nie omyliła się. Mały staruszek okazał się studnią erudycyi i chodzącą encyklopedyą wszechwiedzy. Ledwie dowiedział się o co jej chodzi, sypnął zaraz pełną dłonią nazwiskami autorów i tytułami dzieł. Nawet dziesiątej ich części Wanda nie znała. On to dostrzegł, i ucieszyła go myśl, że może stać się użytecznym.

— Ho, ho! — szeplenił, suchą, kościstą ręczną żywo machając. — Piękny przedmiot! bogaty przedmiot! U autorów włoskich i hiszpańskich znajdziemy nieprzebrane skarby materyałów. Rzymianie i Grecy również nam coś dostarczą. Potem weźmiemy się do narodów wschodnich. Tam była kolebka astronomii; w tamtejszych też dziełach i rękopisach kryją się rzeczy, o których się nawet... członkom Instytutu nie śniło. Wyszperamy to wszystko, przetłómaczymy i pięknie dla panny wykaligrafujemy. „Stare peruki" z Akademii zgłupieją do reszty, gdy to przeczytają. Zrobisz panna hałas; w kąt zapędzisz łysych jegomościów, co zasiadają „pod kopułą." Już ja w tem jestem. A za to wszystko pozwolisz mi pocałować się... hi, hi, hi proszę się nie gorszyć... pocałować się—w ten mały, malutki, maciupeńki paluszek.

I wyciągał obwisłe, oślinione wargi w kierunku małego palca Wandy, która rękę cofała, mowiąc:

— Nie teraz... nie teraz...

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, paluszek był całowany i to niejednokrotnie. Stary wykopywał z pod ziemi nieledwie, prawdziwe skarby. Wanda wiedziała, że z ich pomocą, część historyczna jej rozprawy nabierze pierwszorzędnej wartości.

Nie zaniedbywała jednocześnie i części aktualnej, do której również z niezmierną zręcznością umiała zdobywać cenne przyczynki. Brała je zkąd tylko się dało: ze świeżych książek i broszur, z peryodycznych wydawnictw naukowych, z dysput ze starszymi kolegami, z pytań zadawanych poza szkołą nauczycielom i t. p.

Przychodziła jej też z pomocą doskonała znajomość matematyki. Cyfry były jej żywiołem. Mogła była czynić w świecie gwiazd odkrycia, nie patrząc na gwiazdy.

Ale czynienie odkryć leżało poza sferą jej uzdolnień i siły jej przechodziło. Ani w tej, ani w innej formie nie mogła była nauki niczem *nowem* zbogacić. Jednak myśli i spostrzeżenia zawarte w rozprawie, ułożone były tak zręcznie, że sprawiały wrażenie nowości.

Już w kilka miesięcy po rozpoczęciu studyów, kasyerówna potrafiła zwrócić na siebie szczególną uwagę nauczycieli i kolegów. Pierwsi zaczęli ją wyróżniać i otaczać szacunkiem; drudzy — tajemnie jej zazdrościli. Stanęły przed nią otworem pomoce naukowe, o jakich inni myśleć nie mogli. Miała wolny wstęp do pracowni, dostrzegalni, zbiorów i prywatnych naukowych gabinetów.

Trafiła nawet do Flammariona, który ją przyjął z serdeczną życzliwością, a którego ona w głębi duszy uważała za—belletrystę.

Wszystko składało się jak najlepiej dla ambitnej dziewczyny, obiecując zwycięztwo w walce, którą podjęła.

Przez kilka miesięcy żyła w ciągłem podnieceniu, w nieustannej gorączce. Aby wypełnić braki prowincyonalnego wykształcenia, pracowała nad siły i pracowała bez odpoczynku. Ta praca, która zeszła się ze spóźnionym u niej okresem fizycznego rozkwitania, zabójczą stać się musiała dla zdrowia.

W zimie czuła się Wanda silną i rzeźką; z nastaniem dni gorących opanowało ją nadzwyczajne znużenie. Zaczęła tracić humor i energię, zniechęcać się do pracy i do życia.

Był to skutek rozwijającej się anemii.

Twarz panny, dotąd matowo-blada, o ciepłych, żółtawych, kredkom właściwych tonach, przybierać zaczęła chorobliwe, ziemiste i zielonawe zabarwienie. Oczy jej wpadły, rysy twarzy stały się znużone, na ustach zjawił się wyraz cierpki.

Życzliwi zwrócili na to uwagę. Jeden z nauczycieli wybadał ją z ojcowską troskliwością, a potem przysłał lekarza. Lekarz zapisał lekarstwo, kazał starannie odżywiać się i zalecił—mniej pilności w nauce.

Wanda brała lekarstwo, posilała się angielskimi befsztykami i winem, ale pilności w nauce nie zmniejszyła. Było zaś z nią, jak z człowiekiem, co z ciężarem na plecach wstępuje na górę. Brzemię, którego z początku prawie wcale nie czuła, z każdym dal-

szym krokiem stawało się nieznośniejsze. Teraz już upadała pod niem—a szczyt góry był jeszcze tak bardzo daleko...

Pewnego dnia doznała uczucia, które ją przeraziło...

Było to w samem sercu Paryża, na Bulwarze Włoskim.

Znalazła się tam w piękne, słoneczne popołudnie, sama jedna, dążąc w jakiejś sprawie naukowej do nauczyciela, który mieszkał w okolicy Pól Elizejskich. Otoczona tłumem obcym jej, obojętnym, poniekąd nawet nienawistnym, spostrzegła nagle z przerażeniem, że—traci samopoczucie.

Było to tak, jakby jej osobistość rozszczepiła się na dwie odrębne istoty. Istota myśląca i spostrzegająca wyszła z jej ciała, tracąc wszelkie fizyczne własności i stając się samem tylko pojęciem. W tymże czasie tamta druga istota, będąca w tym stosunku do pierwszej, co przedmiot do podmiotu, zaczęła wyraźnie zamierać...

Wandę przeniknął strach wielki, jakiego doznaje człowiek w chwili zemdlenia lub skonania. Instynkt zachowawczy kazał jej rzucić się w bok i wydostać z tłumu. Pobiegła potem do jednej z tych żelaznych studzienek, które nazywają się tam „źródłami Wallace'a“ i pochwyciwszy kubek z zimną wodą najpierw napiła się trochę, następnie umoczywszy palce, twarz sobie skropiła.

Wróciło jej to przytomność. Ale uczucia strachu przez czas długi pozbyć się nie mogła.

Dręczyć ją też zaczęło w tym czasie przykre uczucie nudy i osamotnienia. W mieście, dostarczającem największej ilości wrażeń, poziewała często na ulicy, niczem zainteresować się nie mogąc. W stolicy nietylko ludnej ale przeludnionej, czuła się niekiedy samotniejszą, niż Robinson na swej wyspie.

Pewnego razu spostrzegła, że świat zaczyna stawać się bezbarwnym. To, w czem dawniej widziała wielkie bogactwo kolorów, raziło ją teraz nudną i smutną szarzyzną. Zdawało się jej, że wszystko dokoła płowieje. Ale, choć w rzeczach fizyki biegła, nie mogła domyśleć się, że to wrażenie było podmiotowe, i że osłabły nie barwy, lecz—zdolność ich odczuwania.

W towarzystwie bywała milcząca i jakby zalękniona. Ożywiała się wówczas tylko, gdy w rozmowie dotknięto jej specyalności. Ale dysputując łatwo zapalała się i traciła cierpliwość. Podziwiano jej uczoność, zbliżano się jednak do niej z pewną obawą.

Czuła się niekiedy tak słabą, że czytając najbardziej zajmujące dzieło, lub rozwiązując najciekawsze zagadnienie, zamykać musiała książkę i odkładać pióro, bo nie pojmowała ani cudzych, ani własnych myśli. W takich chwilach powracał jej dawny strach. Oparta silnie o poręcz krzesła, z przymkniętemi do połowy oczami, zapadała w półsen, w którym cisnęły się jej do głowy niepokojące myśli.

— A może — myślała — przedsięwzięłam rzecz złą i niewłaściwą? Może matka moja miała słuszność, radząc zostać w domu i pójść utartym gościńcem, którym kroczą miliony kobiet? Byłabym teraz panną na wydaniu; różnego gatunku konkurenci staraliby mi się na wszelki sposób przypodobać. Dogadzałaby mi matka, ojciec nawet, wiedząc, że się córki niedługo z domu pozbędzie, byłby dla mnie łaskawy i hojny...

Porównywała pustkę swego studenckiego pokoju z gwarem i wesołością domu rodzicielskiego. Miasto rodzinne przedstawiało się jej w nowem i niezmiernie ponętnem świetle. Porywała ją tęsknota; chciała na ptasich skrzydłach przelecieć Europę i znaleźć się napowrót w swem dawnem, życzliwem i przytulnem otoczeniu...

Nagle jednak myśl trzeźwa brała górę nad marzeniami, i ambitna dziewczyna otrząsała się z czułości, którą poczytywała zawsze za największego wroga kobiet.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z GALICYI.

Nieszczęśliwa w całem znaczeniu słowa, jest ta Galicya nasza. Jeszcze nie przycichły echa tak zwanego przez niektórych żydowskiego pogromu, echa—które malowały w nader posępnych barwach stan kulturalny warstw niższych z jednej, a ekonomicznego ucisku, którego one są ofiarą z drugiej strony—jeszcze nie dokończona, materyalna chociażby, całej onej katastrofy likwidacya, a już występują na widnokrąg nowe chmury, nowe oznaki złowróżbne, zdradzające, że tam wnętrze tego organizmu nurtuje jakaś niemoc — może jakiś zarodek rozkładu, który i pracę materyalną ustawicznie udaremnia, i nastrojowi społeczności całej opłakane wystawia świadectwo.

Tym razem nie chodzi o ubogich i nieoświeconych — tym razem stają przed sądem świata warstwy zwierzchnie, przodujące, a stają, powiedzmy odrazu, odarte z powagi, uroku, godności — odarte ze wszelkich przymiotów obywatelskich, które takim grupom społecznym nadają prawo ubiegania się o rządy i kierownictwo.

Fałszerstwa w sferach finansowych, ucieczki, samobójcze zamachy, i sromotne ciąganie przed sądy karne osobistości, które wczoraj jeszcze świeciły na tym bagnistym gruncie, dyktowały prawa i szafowały wpływami w kraju i za krajem — oto widowisko codzienne, oto materyał, z którego rodzą się góry oskarżeń uwłaczających jednostkom i całej nieszczęśliwej zbiorowości. Deficyt, oszustwo, zdrada zaufania, niewiarogodność w rachunkach instytucyi, najwyraźniej przez lata całe ukrywana—sprawa ze sprawy, skandal po skandalu, wloką jedne po drugiej osobistości wysoko stojące, przed trybunały, a szpalty dziennikarskie cuchną dzisiaj poprostu od insynuacyj i obelg, podsycanych w dodatku zaciekłą nienawiścią stronnictw, nieznającą już dzisiaj hamulca.

Uciekają jedni, za drugimi zamykają się bramy więzień, więc występują inni jeszcze na widownię, aby zaniepokojonym tłumom biedaków poręczyć bezpieczeństwo ich drobnych oszczędności, a oto nie mija tydzień, i te nazwiska poręczających, koleją rzeczy stają pod pręgierzem — i tymi gwarantującymi niby mężami zaufania zaczernia namiętne dziennikarstwo bibułę, jako wspólnikami i metjantami tamtych potępionych już i upadłych.

Fatalne widowisko! Stronnictwo, które wobec stosunków panujących, wolno jest w istocie nazwać rządzącem, stoi dzisiaj pod zarzutem i pociskami podrażnionej w najwyższym stopniu opinii publicznej, i daremnie walczy o utrzymanie się przy nietykalności — daremnie osłania się retoryką najwymowniejszego z rzeczników swoich. Daremnie, mówimy. bo tu nie frazesów, a faktów potrzeba, a zkąd wziąść faktów, gdy winowajcami są ludzie, którzy się jak najściślej zaliczali do fakcyi, którzy z jej woli i szafunku piastowali stanowiska, urzędy i synekury zyskowne. Trudno, ale obóz całego galicyjskiego stronnictwa zachowawczego, ludzi swoich wyprzeć się nie może.

To jest pognębiające w istocie. Tak niedawno jeszcze brały w obronę galicyjskie pisma pewnego odłamu jedno z nazwisk, które między podejrzanemi wymieniać zaczęto; wtórzyły im i nasze, jak przypuszczamy, ze szczerego przekonania. Robiono przedruki, podnoszono, wywodzono analogie i precedensa u nas rozmaite, aż oto przychodzi depesza, że brany w tak gorliwą obronę, dobrowolnie zgłosił się do prokuratora i opowiedział mu o sobie przedziwne a zgoła nieoczekiwane odkrycia.

To bagnisko spekulacyi nafcianej, oskoczonej dokoła przez żydowstwo, zabierające, jak się zdaje, jedyną faktyczną część łupów, jest pierwszem źródłem, z którego dobywają się te miazmaty—jest przyczyną przyczyn i pierwszą sprężyną, która zarazę szulerstwa rozniosła na banki i zakłady kredytowe. Przemysł nafciany okazał się szulerką, która zbogaciła małą bardzo liczbę jednostek, która zrujnowała dziesięćkroć więcej, niż zbogaciła, a przytem wzmógł ten hazard szalony gorączkę powszechną, powołał ze spodu męty wszelakie, oderwał od pracy powolnej, i systematycznej oszczędności.

Czy to jest przemysł złoty, srebrny, albo dyamentowy, wogóle przemysł pragnący wydrzeć przyrodzie jej tajemnicze bogactwa, zawsze to tam na hasła podobne stają w pierwszym szeregu żywioły może być, że najruchliwsze i najbardziej rzutkie, ale w żadnym razie żywioły, na których działalność zbawczą społeczeństwa liczyć mają prawo. Niema się co łudzić, bo tak jest i było, i to nietylko z bogactwami mineralnemi łona ziemi, ale i z wszelkim gorączkowym przemysłem — ze wszelkim wogóle ruchem, dającym łatwowierności ludzkiej miraż rychłego zbogacenia się—dostatku bez długiej pracy i zachodu. Im więcej tryumfatorów z początku, tem liczniejsze tłumy epigonów, i tak ciągle w stosunku rosnącym, aż do chwili jakiegoś smutnego przebudzenia — jakiejś klęski powszechnej—ogólnego pogromu.

My bo mamy jeszcze zwyczaj mówienia sobie przy każdej takiej czy podobnej sposobności, pewnej ilości niby prawd, niby wyrzutów, niby oskarżeń, których treść stanowi nasza czysto indywidualna do handlu, prze-

mysłu i wogóle spekulacyi, nieudolność specyficznie polska. Jest to metoda zdaniem naszem równie prawie mądra, jak ta druga, która podpala, rozbudza, kusi i drażni łatwowierność ludzką i ludzkie próżniactwo. Ani to jest nieuctwo polskie, że ono zawsze z porażką wychodzi z tych orgij, ani też mądrości żydowskiej wyższy stopień, który pozwala wybranemu plemieniu liczyć łupy realne na wszelkich cmentarzyskach ludzkiego szału i ludzkiej nieprawości. Polak wychodzi zawsze zmiażdżony, dlatego, że jest mniej od żyda znieprawionym, i to winniśmy sobie nie na hańbę, ale na, możliwą jeszcze jaką taką, pociechę w tej sprawie powiedzieć. Tam, gdzie ostateczny wynik ujemny jest prawie nieuniknionym, tam wychodzi z korzyścią nie najmędrszy, tylko najpodlejszy — nie ten, który najlepiej obliczał, ale ten, który między losem, a jego ofiarami umiał w odpowiednią chwilę stanąć jako pośrednik, który umiał wydzierać w porę i w porę usunąć się z gry. Jeśli to jest mądrością, to nie wolno nam jej zazdrościć żydom, bo w istocie nie na czem innem, tylko na tem polega ich rola w tej akcyi—nie co innego, tylko ta metoda robi ich zwycięzcami wśród wszelkich tego rodzaju sromotnych katastrof.

Zresztą co się tyczy polskich krachów w przemyśle i handlu, to nie są one bynajmniej ani najczęstsze, ani najcyniczniejsze. Mieliśmy ongi swoje Teperowskie banki, ale to inna rzecz, bo to był szwindel cudzoziemski; likwidacye takie jak Prota Potockiego, Tyzenhauzowskie upadłości i t. p. stanowią fakta odrębnej zupełnie natury. Z późniejszych, bankowe na wielką skalę sprzeniewierstwa z czasów Łubieńskiego i Lubowidzkiego są dopiero wstydem i niesławą, ale tu powiedzieć można, że liczba ofiar opinii była bardzo małą, i tylko jakieś parę jednostek wyszło skompromitowanych i osławionych. Zazwyczaj u nas indywiduum, które się zapędziło w spekulacyach, dobrowolnie ofiarowywało swój majątek na satysfakcyę niedoboru i tem się kończyło wszystko. Zdarzało się, że honor niektórych z ludzi, stojących na czele przedsiębiorstw, zakończonych tak smutnie, nie ucierpiał wcale, jak to właśnie miało miejsce z Potockim, wymienionym powyżej; byli i inni, którzy choć ucierpieli na opinii, można powiedzieć, że ucierpieli niesłusznie. Nie mówiąc o Szteinkellerze, bo ten ocalał jako charakter w pamięci ludzkiej, wspomnimy tu, że i ten, który nie był, ściśle biorąc, naszym człowiekiem, mianowicie Salwian Jakubowski, którego bankructwo przed laty czterdziestu mniej więcej, tak wielkiej narobiło wrzawy — wspomnimy, bo i jemu należy się rehabilitacya zupełna, majątek bowiem, który na pokrycie passiwów swoich pozostawił, o wiele przewyższał ich wartość, jak się przy likwidacyi okazało. Niepotrzebnie uchodził z kraju, bez potrzeby tułał się po Ameryce, bo i tu było dla niego wyjście i oczyszczenie nawet zupełne.

Nie byliśmy tedy, jak nas uczy historya, korsarzami żadnymi, ani wogóle grabieżcami cudzego mienia, i dopiero głośna przed trzydziestu laty sprawa nadużyć kolejowych Leona Sapiehy i Borkowskiego, dopiero ostatnie smutne awantury w Galicyi, ujawniają rozkład moralności jeśli nie w całych warstwach, to w liczniejszych w każdym razie grupach społecznych — dopiero w tym tragicznym, jeszcze nie zakończonym ostatecznie krachu, trafiamy na organizacye nieprawości, na przeniewierstwa, fałszowanie ksiąg, długie tajenie złego, i ogólniejszego znaczenia psucie się moralności.

Wszystko to razem wzięte nie upoważnia bynajmniej cudzoziemców do jakichkolwiek przeciwko nam ostrzejszych zbiorowych oskarżeń — nie upoważnia do obdzielenia narodu hańbą jednostek występnych. Ogół wypiera się ich i zawsze wyprzeć gotów, a Niemcom krótko bardzo mamy prawo zamknąć buzie, gdyby sobie napaściom pofolgować chcieli. Nie my organizowaliśmy budowlane krachy i gründerstwa w Berlinie i Wiedniu, w których tysiące ludzi wyniosło zasłużoną sławę organizatorów rozboju, nie nasze są banki Dachauskie i inne, większego lub mniejszego kalibru szwindle i szwindelki. I francuzi zostać muszą również przy dobrze zapracowanej sławie przez rycerzy Panamskich, a z Galicyjskimi menerami stronnictwa, które tak butnie sobie poczynało, tak się wszechwładnie zdołało rozsiąść, a taką obrzydłą we wnętrzu swojem ujawniło zgniliznę, obrachunek dotąd nie zrobiony. Będzie i na ten obrachunek pora właściwa z pewnością.

X...cr.

Sprawozdania literackie.

G. Hauptman: Fuhrman Henschel.—Seweryna Duchińska: Antologia poezyi francuzkiej XIX wieku.—K. Seignobos: Dzieje polityczne Europy współczesnej.

Daleko najnowszemu utworowi Hauptmana do czarodziejskiej barwności, do fantastyczności potężnej „Zatopionego dzwonu."

Twórczość Hauptmana po krwawej nici współczucia zbiega z wyżyn poezyi na doliny prozy, szarej, smutnej prozy życia. „Woźnica Henschel" należy do tego działu prac poety, w których za temat obiera on sobie powszednie dzieje małych, pospolitych ludzi.

Nie bogunki i elfy, nie gnomy i inne fantastyczne postacie baśni tu działają.

Czar już zerwany, ludzkość nie śni już jak za czasów młodości swojej, lecz żyje życiem płazów, powolnem, bezbarwnem, pozbawionem wielkich radości, ale smutków wielkich pełnem. Czarna opona smutku wisi nad całą akcyą najnowszego dramatu Hauptmana. Z poza drobnych pospolitych wypadków codziennego życia wyzierać się zdaje olbrzymie, nieubłagane, groźne, oblicze przedwiecznego Fatum.

Oto w skróceniu treść sztuki, którą wystawiają we Lwowie, i która prawdopodobnie niezadługo i na naszą scenę zawita.

Rzecz dzieje się w miejscowości leczniczej na Ślązku. Żona wieśniaka Henschla umiera z jakiejś powolnej, wyniszczającej organizm choroby. Umierającą prześladuje myśl, że mąż po jej zgonie zaślubi jej służącą, młodą, zdrową, tęgą dziewczynę i że dziecko jej, niemowlę, dostanie się pod opiekę tej kobiety. W gorączkowem podnieceniu każe przysiądz mężowi, że nie ożeni się nigdy z tą istotą. Henschel, dobra dusza, przysięga. Dlaczegóż nie miałby przysiądz? Jemu podobna myśl nigdy dotąd nie zaświtała w głowie. Zresztą skłopotany jest stratą konia, chorobą żony, i do tej przysięgi nie przywiązuje znaczenia.

Żona Henschla umiera. Dom, dziecko, zostaje pod opieką służącej. Przebiegła dziewczyna, której uśmiechają się dostatki Henschla, stara się opanować go, podbić i doprowadzić do małżeństwa. Wszystkie te sceny napisane są z wielką znajomością życia ludu, ze zrozumieniem pobudek, które w wypadkach takich najsilniej działają. Zagrożony opuszczeniem służby przez dziewczynę, która dotąd jak matka zajmowała się osieroconą jego córeczką, i była doskonałą gospodynią domu, Henschel decyduje się na powtórne ożenienie. Przychodzi mu wprawdzie na pamięć przysięga dana żonie, ale skrupuły jego w tym względzie rozprasza właściciel willi, człowiek intelligentny, życzliwie odnoszący się do całej jego rodziny. Na przeszłości nowej oblubienicy Henschla ciążą również jakieś znaki zapytania, ale on nie zważa na to. Ma on na te rzeczy swój chłopski pogląd i dobre, wybaczające serce.

Małżeństwo zostało zawarte. Wkrótce potem córeczka Henschla z pierwszej żony umiera, a nowa pani Henschel zaczyna zdradzać i oszukiwać dobrodusznego, łatwowiernego męża. Warunki miejscowe, napływ obcych przybyszów, spieszących do źródeł leczniczych lub szukających tu zarobku, nasuwają jej łatwą sposobność występku.

Ludzie zaczynają też swoim zwyczajem wdawać się w te sprawy, zaczynają przebąkiwać o sprawkach młodej małżonki, zaczynają snuć różnowzorą tkankę posądzeń i obmowy. Dobroduszny Henschel nie wie o tem wszystkiem. W piwiarni przy pierwszej sposobności przyjaciele i niechętni otwierają mu oczy. Dobry, serdeczny człowiek dowiaduje się, że żona go zdradza, a zarazem, że ludzie posądzają ją, może nawet i jego, o otrucie pierwszej małżonki i jej dziecka.

Strwożone sumienie biedaka przypomina mu złamaną przysięgę i wystawia wszystkie spadające nań ciosy, jako następstwa tego występnego czynu. Odtąd nie ma chwili spokoju. Widmo pierwszej żony sunie za nim jak cień, i wyrzuca wiarołomstwo. Duszę jego dręczą podejrzenia i wątpliwości. A może ta druga rzeczywiście jest trucicielką... a on chciał być dobrym dla niej, pragnął umilić jej życie. Teraz nienawidzi jej, ona jest pierwszym, jedynym, widomym powodem jego nieszczęść. Biedny człowiek schnie, więdnie, sen ucieka od jego powiek, popada w melancholię, w obłęd, doświadcza widzeń, hallucynacyj, nosi się z myślą samobójstwa, wreszcie wyczerpany, bezsilny, umiera.

Zazdrosny duch zmarłej dokonał zemsty. Ten niezaznaczony wyraźnie, a jednak dający się wyczuć w ciągu całej akcyi, wpływ woli pozagrobowej, zostawia przejmujące wrażenie, i wiąże tę sztukę Hauptmana z innymi utworami tego pisarza, noszącymi na sobie wyraźniej piętno myśli mistycznej.

Ukazał się niedawno w druku duży tom przekładów z poetów francuzkich, pióra Se-

weryny Duchińskiej. Nie są to przekłady tak artystyczne, tak wiernie oddające ducha utworu, jak np. Miriama, Langego, A M..skiego, Porębowicza, w którego tłómaczeniach spotykamy nawet te same fragmenty, co u Duchińskiej. Zbiór ten nie ma też właściwie prawa do tytułu „antologii poezyi francuzkiej XIX wieku," ponieważ tłómaczka nie starała się o stworzenie pełnego obrazu poezyi francuzkiej z ostatniego stulecia, lecz wybierała z całego żniwa te tylko kłosy, które do ducha jej i upodobań najlepiej przypadały, pomijając takie utwory i takich autorów, z którymi myśl jej i uczucie zharmonizować się nie mogły.

Niezmierną przewagę dała tłómaczka Wiktorowi Hugo i Franciszkowi Coppée. Dalej idą Juliusz Breton, Albert Delpit, Józef Autran, Sully Prudhomme, Teodor Banville, Leconte de l'Isle, Bornier, Wiktor Laprade, Edward Grenier, Henri Martin, Catulle Mendez, Ksawery Marmier, Ernest Legouvé, Edward Pailleron, Teofil Gautier i t. d, i t. d. Brak takich imion jak Alfred Musset, Lamartine, Berenger, Beaudelaire, Verlaine, brak całego zastępu przedstawicieli ostatniej doby poezyi francuskiej.

Zbiór swój zakończyła tłómaczka przekładami z poetów prowansalskich Jasmin'a, Roumanille'a, Aubanela, Mistrala.

To pomijanie niesympatycznych dla tłómaczki utworów sprawia, że książka choć jest zbiorem prac tak różnorodnych indywidualności twórczych, sprawia wrażenie dzieła jednolitego, jak gdyby wyszło z pod jednego tylko pióra. Zatarły się cechy charakterystyczne poszczególnych autorów; z książki wieje duch znanej, cenionej wysoko autorki naszej. Nie przemawia to jednak na korzyść przekładów, i dowodzi, że tłómacz nie powinien być tak silną, nawet fanatyczną pod względem przekonań indywidualnością, jak jest nią Duchińska.

Do celów pedagogicznych jednak, zanim uczniowi czy uczennicy pełniejszy obraz poezyi francuzkiej przedstawićby można, książka ta doskonale posłuży.

Jednem z bardzo pożytecznych wydawnictw, na które należy zwracać uwagę czytelników, są „Dzieje polityczne Europy współczesnej," skreślone przez lektora uniwersytetu paryzkiego K. Seignobos.

Wiadomo powszechnie, że nauka historyi urywa się u nas zazwyczaj na kongresie wiedeńskim. Spotykamy też często ludzi inteligentnych, mających bardzo luźne, bardzo niedokładne wiadomości o dziejach naszego stulecia, a żadnych prawie o układzie stronnictw politycznych w różnych krajach Europy, o formach państwowych i społecznych tych krajów, o przebiegu wreszcie, jakim szło życie polityczne Europy, zanim skrystalizowało się w dzisiejsze kształty. Są to braki przeszkadzające w wyrobieniu bardzo ważnych pojęć, poglądów, zasad, hamujące prawidłowy i pożądany rozwój myśli politycznej.

Dzieło K. Seignobos, wychodzące zeszytami, niezbyt kosztowne, naprawia niedokładności domowego i szkolnego wykształcenia, kładzie głównie nacisk na dzieje rozwoju stronnictw i form politycznych, splata w całokształt niepewne, z dzienników najczęściej pochwytane wiadomości o dziejach bieżącego stulecia.

H. C.

Pomysły

do reform wychowawczych.

(Dokończenie).

We względzie stosowania nauki języków zmarłych w szkołach, stoi p. Mielle na gruncie tego, co ostatnimi czasy wypowiedział w tej mierze Juliusz Lemaitre członek Akademii francuzkiej, a z czego czytelnicy „Tygodnika" mieli sprawozdanie dosyć szczegółowe przed półrokiem mniej więcej. Uważając wogóle starożytność dla umysłów młodych jako rodzaj gimnastyki, nie chce bynajmniej tej gimnastyce na ofiarę poświęcać sześciu cennych lat w życiu młodzieży, ale w drodze kompromisu godzi się na lat dwa lub trzy najwięcej, podając jako środek na obznajmienie się ze starożytnością, nie zgłębianie ducha języków zmarłych, ale ich na język ojczysty tłómaczenia i przekłady wzorowe.

Wyraziwszy przy tem sprawozdaniu z pracy Lemaitre'a zapatrywania na tę kwestyę wielu pedagogów naszych, nie będziemy do niej powracać dzisiaj, powiemy tylko, że jako jeden z motywów rugowania starożytności z wykształcenia dzisiejszego, stawia p. Mielle ten najgłówniejszy, że co było dobrem dla Cesarstwa i monarchii wogóle, to dla rzeczypospolitej przydać się nie może na nic. Zobaczymy poniżej, jakim chce on mieć tego człowieka wychowanego dla jego rzeczypospolitej i przez rzeczpospolitą, a tymczasem zaznaczymy punkt wyjścia, który jest ten, że jeśli szkoła a właściwie lyceum, ma być inspektem przyszłych ludzi czynu, musi ono wystawiać ludzi wolnych przedewszystkiem, i że w duchu tej wolności organizować trzeba programy szkolne.

A więc skoro szkoła dzisiejsza ma dać Francyi nową rasę tych ludzi wolnych, musi się ona strzedz więzienia w powijakach biernego posłuszeństwa dusz tych przyszłych bohaterów czynu i atletów myśli, albowiem tym sposobem łamie się rozpęd indywidualności.

„Miejmy przedewszystkiem odwagę, woła p. Mielle, otrząsnąć się raz z wygodnej rutyny w kwestyi owego nad młodzieżą rozciąganego nadzoru; pozostawmy przynajmniej tym, którzy wyszli z dzieciństwa, więcej nieco swobody. Czyż to w istocie potrzebną jest ta kontrola ich przechadzek, to mięszanie się do ich godzin rekreacyjnych jeszcze, do ich sposobu uczenia się? Czyż oni w istocie nie potrafią powrócić w godzinach właściwych bez odgłosu bębna i eskorty korepetytora. Czy to ma być marzeniem nieziszczalnem zorganizowanie dla młodzieży od 14 do 15 roku poczynając, rodzaju jakiegoś samorządu? Wszakże przedsiębrane w tym duchu próby w niektórych szkołach normalnych, wypadły podobno zupełnie zadawalniająco."

Idzie tedy o samorząd, a w zastosowaniu do atrybucyi wiekowi właściwych o jakiś rodzaj samowychowania — idzie o to, aby człowieka w zarodku, a więc tego, który nie jest ani wychowanym, ani umysłowo rozwiniętym, wychowywał on sam, to jest taki, który się przysposabia dopiero do tego, aby mógł zostać użytecznym członkiem społeczności — co sprowadzając do właściwego znaczenia, jaki mieć może tryb podobny w zastosowaniu praktycznem, aby istotę młodą pozostawić na łaskę jej instynktów własnych. Będzie natura bogata, rzutka, szlachetna a namiętna, to jeśli ominie szczęśliwie setkę jaką sposobności, w których się może rozbić o trudności i pokusy życiowe, zdoła może w końcu wypłynąć szczęśliwie i zostać człowiekiem jak należy — nie wyższym w każdym razie od tego, któremu w czasie właściwym wszczepiano poczucie honoru, którego uczono obowiązku i ułatwiano rozglądanie się w warunkach życiowych. Będzie ospalec, leniuch, bez ambicyj wyższych, bez pragnień, to mu ten samorząd odda do rozporządzenia wszystkie możliwe środki pofolgowania ujemnym instynktom. Będzie nakoniec jednostką występnych skłonności, taką, która z rodziny wyniosła wszystkie szpetności ducha, to jej ta pedagogia republikańska zagwarantuje możność szerzenia bezkarnego zarazy dokoła siebie. Bo przecież nie powie nikt z tych, którzy znają szkołę i skład jej przeciętny, aby była liczebna przewaga takich ludzi młodych, któ zy mogą być przykładem i wzorem dla innych, aby nie było takich co psują i takich, którzy ulegają złym doradom kolegów, i aby ostatecznie godziło się przypuszczać, że pozostawiona samej sobie gromadka taka nieszczęśliwa, koniecznie będzie musiała trafić omackiem na drogę właściwą, dzięki zapewne jakimś drukowanym wskazaniom republikańskiego kodeksu i odczytom nauczycieli świeckiej moralności.

Trzeba przyznać, że znakomicie chcą ułatwić sobie zadanie wychowawcze panowie pedagodzy współcześni.

Zobaczmyż jeszcze ostatni rozdział, to jest ten, który traktuje o naturze wpływów na umysły, o środkach, jakimi projektodawca uzbroić myśli na życie młodego człowieka — jakimi chce tworzyć swoich, jak ich nazywa, bohaterów czynu i atletów myśli. Za bohaterstwo niktby poręczyć nie mógł z tych, co przeczytali pracę p. Mielle, za to atleci o wiele są prawdopodobniejsi, tylko znowu nie możemy powiedzieć, aby to mieli być atleci myśli koniecznie.

Jedno z głównych oskarżeń, jakie najczęściej słyszy p. Mielle, stosowane względem uniwersytetów francuzkich, a które on uważa za słuszne zupełnie, jest, że te uniwersytety zajmują się tylko ukształceniem, zaniedbując wychowanie jednocześnie — że dają ludzi światłych, ale źle wychowanych — że zamiast wytwarzać głowy dobrze organizowane, wytwarzają głowy napełnione wiadomościami. Dlatego rozbiera znaczenie tego terminu *litterae humaniores* u starożytnych i tych, którzy w nowszych czasach ślepo szli za ich śladami, następnie zastanawia się nad duchem słowa *gentleman* w rozumieniu Anglików, i nakoniec stara się wniknąć w to,

co we Francyi wiek XVII chciał rozumieć przez określenie swoje *l'honnête homme*. Otóż dochodzi do wniosku ostatecznego, że przez ten ostatni termin rozumiał duch francuzki połączenie w człowieku przymiotów nauki z ogładą i polorem światowym.

„Nie chcemy tedy, powiada p. Mielle, aby uniwersytety miały nam pozostawiać odłogiem całą jedną część składową człowieka — nie życzymy sobie, aby jego strona zewnętrzna pozostać miała poza kulturą. Do tego zaniedbania i pominięcia prowadzi właśnie Francyę dzisiejszą jej system koszarowy w wychowaniu. Moglibyśmy, dodaje tutaj z przedziwną naiwnością reformator systemu edukacyjnego, moglibyśmy tu przyznać, że odegrało w tem pewną rolę wielkie wtargnięcie żywiołu demokratycznego we wszystkie sfery, ale zamiast oskarżać, pomyślmy raczej o środkach uzdrawiających.

Dlaczego, woła nakoniec, niema w naszych lyceach i kollegiach nauczycieli tańca i poprawnego obejścia towarzyskiego? Wszak chód swobodny i pełen wdzięku, obejście miłe i naturalne, ruchy szykowne i eleganckie, to są wszystko przymioty, na brak których cierpią właśnie dotkliwie ludzie młodzi naszej epoki.

Wogóle zanadto lekceważyć zaczęto talenta towarzyskie, i nadmiarę też wszelką zaniedbane są one w wychowaniu. Skorzystałaby na tem całość estetycznego wychowania młodzieży, a bądź co bądź sztuka jest wielkim moralizatorem, i bez niej człowiek młody nie będzie nigdy człowiekiem zupełnym. Tego rodzaju złagodzenie ostrości konturów w formach zewnętrznych nie mogłoby się obejść bez odpowiedniego wpływu na wewnętrzną istotę młodzieńca. Właśnie uniwersytet posiada pod ręką wszystkie środki przeprowadzenia podobnej reformy w obyczajach narodowych. Tylko trzeba, aby ludzie stojący na czele dobrze przejęli się ważnością zadania. Niechaj w programach jak najszerzej uwzględniane będą wszelkie ćwiczenia ciała, które nadać mogą formom zewnętrznym więcej wdzięku i elegancyi—serca uczynić szlachetniejszemi i przystępniejszemi — duszę niezależniejszą i silniejszą (!!). Rozwój umysłowy nic na tem nie straci — przeciwnie. Tym tylko sposobem uniwersytet francuzki stanie się prawdziwie narodowym — tę tylko drogę otwierając przed pokoleniami odpowie on hasłu:

Coraz więcej sprawiedliwości—coraz więcej swobody!“

Ciekawa też to sprawa do jakiego stopnia może ten człowiek mieć słuszność za sobą — do jakiego stopnia zharmonizować można ze sobą demokratyzowanie programowe społeczeństwa z udostępnieniem dla wszystkich poloru zewnętrznego i wyższego towarzyskiego uspołecznienia, wytwarzanego jak wiadomo przez warstwy najstarsze kulturą. Już dawno powiedziano francuzom w oczy tę wielką prawdę, że miłują wolność prawdziwie, ale do równości w prawach i obyczajach żywią wstręt instynktowy i bardzo poważny, a tymczasem ta ich respublika demokratyczna, opierająca się na fundamencie zniesienia przywileju, ma otwierać przecież na rozcież podwoje równości obywatelskiej!

Jak tu jednakże przy tej równości starać się o wprowadzenie czynnika dobrego smaku, wykwintu w formie, elegancyi w obejściu, które się chyba do skończenia świata z niwelacyą społeczną kłócić będą na zabój.

Ha! niechaj próbują francuzi! Czy to nie będzie jednak kwadraturą koła to, czego zamierzają szukać tym razem!

K.

Juliusz Zeyer.

Trzy legendy o krucyfiksie.

przełożył z oryginału MIRIAM.

III.

Samko Ptak.

Legenda Słowacka.

Noc była chmurna, jak dola Słowackiej krainy. Burza grzmiała w dali, jak wściekłość hordy mongolskiej, która do dzisiaj znękany lud ten gnębi. Ciemność była tak gęsta, że gór aniby dojrzał. Lasy szumiały, potok, pieniąc się, pędził między skałami, posępny, zimny, wrogi. W jednem tylko miejscu pełny był czerwonych blasków, jak gdyby ktoś skarb złota i rubinów na mieliznę jego wysypał. To z otwartych drzwi poblizkiego dworu światło nań padało. Ogromny ogień buchał tam na kamiennym kominie przestronnej kuchni. Pieczono całego barana na ruszcie. Gromada mężczyzn o jasnych oczach i surowych twarzach siedziała w pobliżu na drewnianej ławie i popijała z glinianych dzbanów. Drzwi stały otwarte na oścież; było gorąco u tego wesoło trzaskającego ognia, świecącego aż na rzekę i na ścieżkę, wiodącą wzdłuż jej brzegu. Na drożynie tej zjawiła się teraz wysoka, wychudła postać młodego mężczyzny. Był bosy i w podartej sukmanie. Płowe, długie włosy miękko spadały mu na kościste ramiona, oczy miał jak szmat błękitnego nieba, płochliwe, marzące, łagodne. Twarz jego była blada, zeszpecona przez nędzę—śmiertelnie w tej chwili smutna i naznaczona czerwoną pręgą, ciągnącą się od prawej skroni przez usta aż do lewego ucha. Biedak zatrzymał się o kilka kroków od drzwi, nie śmiejąc podejść bliżej. Usta jego poruszyły się, a w ciemności nocnej, w ciężkiem przed burzą powietrzu, ozwał się zamiast słów świegot jakiś ptasi, cichy, słodki i smutny. Dźwięk ten zawionął do bielonej, jasnej od ognia kuchni, i gospodarz wyszedł na próg. Ten głos ptaka w ciemności nocnej, przy zbliżającej się burzy, zadziwił go nieco. Szukał ptaka i ujrzał człowieka.

— Kto to? — rzekł grubym głosem—przysłonił sobie ręką oczy i patrzał.

Blady nędzarz z krwawą pręgą na twarzy drgnął teraz boleśnie, obejrzał się dokoła, jakby chcąc się upewnić, że stoi na miejscu, którego szukał, i oczy jego napełniły się łzami. Tak, tu stał niegdyś jego domek, tu było niegdyś jego pole! Nie kłamali tedy, nie drwili z niego, gdy mu rzekli: „Wszystko co niegdyś było twojem, należy teraz do innych. Przyszli jacyś z Niemiec obcy ludzie, i pan twój i nasz dał im, co twojem było.“

— Kto to? — powtórzył gruby głos z obcej mowy brzmieniem.

Blady młodzieniec otarł w mroku nocnym łzę, smętny jakiś uśmiech rezygnacyi świecił mu z oczu, chciał przemówić, ale zamiast słowa wybiegło z ust jego znowu coś, jakby smutne, słodkie, tkliwe świegotanie drozda. Zrobił krok bliżej i pełne światło padło na jego wynędzniałą postać.

— Włóczęga! — rzekł Niemiec niechętnie i nieufnie.—Precz mi ztąd!

Tymczasem przystąpił do gospodarza drugi mąż.

— Tego niema co się obawiać — rzekł ze śmiechem.—To głupowaty. Wołają nań „Ptak,“ był przy budowie zamku. Dziś rozegnali tam tę hałastrę, która nareszcie skończyła stawianie murów. Nie potrzeba im już tych ludzi, a nie wiedzą, co teraz począć z nimi. Nie rób nic złego „Ptakowi,“ ale do domu go nie puszczaj. Kradnie najpewniej.

Miał w ręku wielki kawał chleba i acz urągał żebrakowi, litował się jednak nad nim. Rzucił mu tę kromkę zdaleka, jak psu. Padła nędzarzowi pod nogi, a on, myśląc, że to kamień, cofnął się o krok, zamiast po rzuconą jałmużnę się schylić. Męża, który chleb rzucił, rozgniewała ta niewdzięczność.

— Chleba nie chce! — wściekał się — a do domu chciałby się wkraść!

I podniósłszy teraz już istotnie kamień, rzucił nim w żebraka. Trafił go w ramię. Z ust nędzarza wyszło coś, raczej podobnego do skrzeku ranionego ptaka, aniżeli do wykrzyku człowieka. Zaczął powoli cofać się w ciemności. Ale mężowie w kuchni, usłyszawszy łajania i klątwy towarzysza, wyszli na dwór, i napół pijani jęli jedni ze śmiechem, drudzy ze złością zbierać grudki ziemi i kamyki i zasypywać niemi z urąganiem biednego, żwawo już teraz pierzchającego Samka Ptaka, niby gradem strzał.

Samko uciekał wzdłuż rzeki, dopóki mu starczyło oddechu. Obejrzał się wreszcie i zobaczył, że już go nie ścigano. Noc ukryła go przed złością ludzką. Burza zerwała się tymczasem i deszcz lał z niebios potopem. Samkowi ta wrzawa nawałnicy milszą była od krzyków tych rozżartych ludzi. Wiedział gdzie jest, wiedział, że znajduje się w pobliżu niezbyt głębokiej w skałach jaskini. Znał ją dobrze. Wiedział, że jest tam miękki mech i wszedł. Był tam zupełnie zasłonięty od deszczu i wiatru. Siadł cicho na ziemi, oparł głowę o skałę, a ręce opadły mu na kolana. Oddychał długo, nie myśląc o niczem, w jakiemś ogłuszeniu, potem, gdy krew przestała dzwonić mu w uszach, a serce tłuc się o żebra, rzekł do siebie ze smutkiem:

— Dokąd pójdę?

Ale żadna odpowiedź na to nie ozwała mu się w duszy. Wszystkie jego pojęcia o istnieniu i szczęściu, o świecie i życiu, zamykały się w tej samotni leśnej, gdzie się urodził on i ojciec jego, i nawet ojca jego ojciec, w tej niewielkiej dolince nadrzecznej,

gdzie dokoła na wysokich stokach tysiącoletnie drzewa, pełne gniazd ptasich, w takiej cichej zadumie stały i szumiały, i kołysały się drzewa pełne gędźby i woni, których wielkie cienie padały na miekką trawę, usianą białemi i żółtemi kwiecia gwiazdami. To była dla Samka cała ziemia. Granicami jej były stromo aż pod niebo pnące się Tatr szczyty, nad którymi płynęły obłoków sznury, których twarde czoła wiatr potężnemi smagał skrzydłami i z których głębi szemrząc sączyły się srebrne strużki źródełka. Za Tatrami nie było zapewne już nic, ale żeby nawet był świat, i piękniejszy, Samko miłował tylko ten piękny zakątek, w którym był ujrzał światło słońca i rodziców swych twarze. Ten kąt był jak gniazdo zaciszne.

Nad brzegiem rzeki stała biała chałupa, a za nią falowały dwa małe pólka, rozdzielone potokiem i olch szeregiem. Jedno modre, gdzie kwitł len, drugie złote, gdzie dojrzewało żyto. U drzwi chałupki siadywała zawsze prze całe lato jego prababka i przędła.

Na wiosnę uprawiał Samko starannie te pólka; zaprzęgał się do pługa, jak ojciec jego przed nim, a prababka, odłożywszy prześlicę, orała. Długie jej, białe jak mleko włosy, wiewały z wiatrem, jak grzywa, a jej pełny, dotąd silny i dźwięczny głos, błogosławił brunatnej ziemi, wyziewającej świeżą woń i ślubującej chleba dostatek. Prababka była mądra i święta. Rozumiała mowę ptaków leśnych, i wielkich od nich dowiedziała się tajemnic. Samko zaczynał też ich świegoty rozumieć i nauczył się odpowiadać im. Umiał śpiewać jak drozd, klaskać jak słowik, gwizdać jak kos. Nawet skwiry orłów umiał z siebie wydawać, bo często wdrapywał się aż do gniazd ich na szczytach Tatr, a gdy wisiał niekiedy w niebezpieczeństwie życia między przepaściami, na dnie których szumiały wody, a obłokami, trwoga wyrywała mu z ust takie same dźwięki, jakie wydawały orły, tłukąc skrzydłami, w strachu o swoje młode, które Samko w gniazdach ich głaskał. Niepotrzebnie się wszakże bały; Samko nie zrobił nigdy krzywdy żywemu stworzeniu, ani żukowi, ani muszce, ani ptakowi, i ciemny las, i słoneczna niwa znały go i kochały. Ptaki były jego przyjaciółmi, żaden się nie płoszył, gdy Samko doń się zbliżał, przeciwnie zlatywały się radośnie do niego, gdziekolwiek się zjawił. Gdy szedł lasem, towarzyszyły mu zięby i drozdy, gdy siadłszy na progu domostwa, posilał się, przylatywały kosy na gody i jadły z nim z jednej misy, gdy ciągnął pług na pola, ulatywał skowronek obok niego wzdłuż bruzdy i śpiewał mu. Samko miłował skowronka najbardziej ze wszystkich skrzydlatych przyjaciół swoich, bo też ze wszystkich ptaków skowronek największej miłości okazał Panu naszemu Chrystusowi, którego żywot Samko z opowiadań prababki znał szczegółowo.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Z nauki czystej i stosowanej.

Żywe góry przedpotopowe. — Roślina-fontanna. — Dyamenty w Australii.

Dzięki długoletniej pracy paleontologów, składających wykopane z głębin ziemi kości, wiemy dziś, że dawnymi czasy, przed potopem, żyły na świecie zwierzęta, częstokroć niepodobne do dzisiejszych i odznaczające się potworną wielkością oraz dziwactwem kształtów.

Przed oczyma zdumionego dyletanta, który zechce zajrzeć do paleontologicznego muzeum, staje cały szereg istot, których istnienia nie domyślał się on, a które dowodzą, że przyroda jest niewyczerpaną w swej twórczości.

Z początku mniemano, że olbrzymy w rodzaju mastodontów, dinoteryów i mamutów zamieszkiwały tylko świat stary; później atoli przekonano się, że nie brakowało ich także w Ameryce. Obecnie nowy świat bierze nawet pod tym względem pierwszeństwo; dochodzą ztamtąd wieści o nowoodkrytych wykopaliskach, które wprawiają w zdumienie już nie laików, ale samych uczonych.

Pewna grupa tych przedhistorycznych potworów, nazwana dinosaurusami, odznacza się gatunkami, wobec których dzisiejsze słonie wyglądają jak karły; niektóre osobniki zaliczone tutaj miały *do trzydziestu metrów długości!* Jedne dinosaurusy należały do roślinożernych, inne zaś były krwiożerczemi drapieżnikami. Znajdowały się też pomiędzy niemi i takie, które miały rozwinięte tylko nogi tylne i na nich jedynie chodziły. Pomimo tej cechy, zbliżającej je poniekąd do rodzaju ludzkiego, stały one odeń daleko w hierarchii rozwojowej, albowiem odznaczały się nader małą objętością mózgu, a co zatem idzie nizką zmyślnością.

Opiszmy kilka z tych dziwacznych potworów, które nie zdołałyby się chyba zrodzić w najbujniejszej fantazyi poety.

Oto np. ceratosaurus, z rzędu drapieżników, dwunożny. Posiadał on jeden jedyny róg, będący dlań bronią zaczepną i odporną zarazem.

Zgadnijcie też, szanowne czytelniczki, jak duży był ów ceratosaurus. Liczył trzy metry wysokości, to znaczy dziesięć stóp.

Wzrost ładny jak na dwunożne stworzenie, przekonamy się jednak niebawem, że nie mógł się on nawet równać ze swym krewniakiem triceratopsem, który mierzył 7 i pół metra długości, a miał głowę trzyłokciową. Zaliczono go do roślinożernych. Nosił on trzy rogi: jeden na nosie, a dwa na czole.

Dinosaurusy roślinożerne odznaczały się też niesłychaną mnogością zębów; pewien uczony naliczył ich u jednego osobnika aż — 2,072.

A teraz rzućmy okiem na Mosasaurusa, którego ciało mierzyło 15 metrów, t. j. 50 stóp długości; na claosaurusa, o małej czaszce, olbrzymich nozdrzach, zbliżonego postacią do żyrafy, lecz przenoszącego ją znacznie wzrostem (10 metrów długości); na brontosaurusa wreszcie, odkrytego w górach Skalistych, a posiadającego skromny wzrost 20 metrów i ważącego według obliczeń tylko 20 tysięcy kilogramów.

Atlantosaurus odkopany w pokładach jurasowych w Colorado, a mający 4 metry wysokości, uchodził przez długi czas za największą istotę, jaka żyła kiedykolwiek na powierzchni ziemi; odkryty przed kilku miesiącami, dinosaurus, któremu jeszcze nie nadano gatunkowej nazwy, może uchodzić jednak obok niego za olbrzyma. Kolos ten, znaleziony przez prof. Reed (czytaj Riid) z Wyoming (Uojoming), w Sierpniu zeszłego roku, w pustynnych okolicach Colorado, ma rozmiary iście apokaliptyczne. Długość potwornego cielska wynosi *czterdzieści metrów*, szerokość zaś w biodrach *jedenaście*.

Waga samych jego kości równa się 20,000 kg., najmniejsza z pomiędzy nich jest tak ciężka, że jeden człowiek z trudnością może ją dźwignąć z ziemi.

Różnica wzrostu pomiędzy tą bestyą a mamutem, większym daleko od słonia dzisiejszego, jest taka sama, jak pomiędzy zwyczajnym koniem a psem. Z tego porównania możemy sobie wyrobić pewne pojęcie o nowoodkrytym kolosie świata zwierzęcego.

Prof. Reed przypuszcza, że ów gatunek dinosaurusa musiał ważyć przynajmniej 40 tonn, czyli 40,000 kg. to znaczy zatem tyle, co 80—100 zwyczajnych koni.

Szyja jego miała 10 metrów długości, ogon 10 metrów, brzuch zaś posiadał rozmiary sporego pokoju.

Już dziś turbują się paleontologowie, gdzie umieścić na razie tego olbrzyma, bo w Lazamie, miasteczku najbliższem, niema budynku odpowiedniego na przyjęcie gościa, który żył na kilkadziesiąt, a może na kilkaset tysięcy lat przed nami.

Jakie przyczyny spowodowały wygaśnięcie tych kolosów, dlaczego dzisiejsze zwierzęta są tak małe w stosunku do tamtych? Czy ostatnio wymieniony dinosaurus jest najpotężniejszem zwierzęciem, jakie ukazało się w przeciągu szeregu wieków minionych na naszej ziemi?

Na te wszystkie pytania nauka nie daje jeszcze odpowiedzi. Paleontologowie nie ustają w poszukiwaniach i spodziewają się porobić w niedalekiej przyszłości nowe, równie zadziwiające odkrycia.

Zdaje się, że Ameryka — ta część świata, w której największem zwierzęciem w epoce odkrycia jej przez Hiszpanów, była lama — zasługuje na miano kolebki olbrzymów; nigdzie bowiem w starym świecie nie odkryto szczątków zwierzęcia, mogącego iść w porównanie z opisanymi wyżej gatunkami wielkich dinosaurusów.

Kto wie, czy i rodzaj ludzki nie wygaśnie kiedyś, jak poznikały owe kolosy i czy jego następcy nie będą odkopywali i umieszczali w muzeach paleontologicznych kości współczesnego *homo sapiens*. Ze stanowiska nauki ewentualność ta nie należy do niemożliwości.

(*Dokończenie nastąpi*).

KRONIKA.

Z prasy.

Kronikarz „Wieku“ w gorzkich a zupełnie uzasadnionych słowach, skarży się na brak w Warszawie nietylko dobrego smaku w pierwszo-Kwietniowych niespodziankach i mistyfikacyach, ale zaznacza nadto wiele przykładów złośliwej pospolitości, ujawniającej się w przesyłanych okolicznościowych anonimowych listach. Zażaleń na tego rodzaju nadużycia odbierają podobno znaczną ilość redakcye pism codziennych. Choćby ktoś tym oskarżeniom niechętne dawał ucho, wystarczyćby chyba powinny porozwieszane po sklepach i sklepikach próbki kredensowego humoru, na których treść i nastrój zwraca również uwagę kronikarz, jako na oznaki pokrewne.

Wątpliwości nie podlega, że nasunąć może ten symptom więcej smutnych myśli, niżby się narazie wydawać mogło. Bądź co bądź, te niespodzianki zużytkowywa nasz świat dzisiejszy wchodzący w życie, tą wesołością posiłkują się obojej płci żywioły młode, jakaż to tam tedy próżnia duchowa i gminność w obyczajach panować musi, skoro wystarcza aż taka nicość, skoro bawi i cieszy podobnie płaskie błaznowanie. Znaczy to widać, że poziom intellektualny i uspołecznienie nasze bynajmniej nie podnosi się tak, jak to my w siebie często wmawiamy, że owszem obniża się raczej, a nędza ta obrazkowa jest przedmiotem spekulacyi, znajduje nabywców, rozchodzi się. Zapytany też przez sprawozdawcę kupiec, dlaczego sprzedaje te śmieci, odpowiedział mu argumentem w swoim rodzaju jedynym: „Ha, trudno, panie! Dla mnie samego to jest wstrętne, ale kupiec to nie apostoł moralności. Sprzedajemy to, co przynosi zyski—o resztę pytać nie możemy.“

Niezrównane to usprawiedliwienie nasuwa kronikarzowi uwagę taką:

„Kupiec nie jest przecież wyłącznie maszyną rachunkową — nie przestaje on być człowiekiem i obywatelem. Nie sprzeda trucizny, skoro ona posłużyć ma do krzywdy ludzkiej.

Pokazuje jednak praktyka, że jest tą maszyną— że podporządkowywa zasadę interesowi—a na jego uczucia obywatelskie liczyć można aż do tej granicy, poza którą rozpoczyna się przewidywanie utraty zysku. Teoretyczne stawianie kwestyi ustąpić musi zawsze przed doświadczeniem życiowem. A warto o tem pamiętać, bo zapominając, plączemy sobie rachunki.

Z miasta.

Pisma codzienne grożą Warszawie znaczną ilością teatrów czy teatrzyków prywatnych mających na podstawie posiadanych koncesyi, obrać sobie siedziby stałe. Mówi się tedy o przerobieniu na teatr cyrku stojącego na Ordynackiem, tak samo o maneżu Tatersalu; posesya znowu Eldorado ciągle głosi o teatrze, który ma tam stanąć, a nadto przebąkują już i o obu panoramach, których gmachy zmienić mają przeznaczenie i utworzyć gmachy teatralne. Dużo teatrów przy skąpym bardzo, mimo zachęt konkursowych, rozwoju piśmiennictwa scenicznego — jakoś to nie bardzo harmonizuje jedno z drugiem. Jakie to tam będą repertuary? Czy to, jednem słowem mówiąc, posłuży wszystko ku lepszemu, czy też zaczniemy hurtownie uprawiać wesołą muzę, tę mianowicie, która kasom teatrzyków robi najlepiej, a sprawie moralności i rozwoju intellektualnego jak najgorzej. Różne bo i wieści rozchodzą się między publiczność z tych naszych komitetów konkursowych. Wszak i między sztukami nagrodzonemi znajdują się podobno takie, których tematy na scenie polskiej byłyby nowością zupełną— nb. nowością obrażającą w najwyższym stopniu obyczaje, smak dobry i przedstawiającą społeczność ze strony ciemniejszej, niż ona zasługuje i niż się godzi. Jeżeli warunki konkursu układać się mają w ten sposób, że pominiętym będzie wzgląd na pielęgnowanie wśród mas tego, co nam droższem być winno od dorównania mętnemu potokowi życia w wielkich środowiskach zachodniej Europy, to przyznajemy, że nam się konkursy źle przysługiwać będą. Nagradzać, odznaczać, polecać do grania, to przecież znaczy upoważniać. Jakim sposobem nagrodzoną być może sztuka, która jest zgorszeniem prostem, a zarazem, paszkwilem na społeczeństwo własne. Czy sceniczność sama i zręczność układu wszystko zastąpić ma u nas na przyszłość? Co nakoniec powiedzą o nas obcy— co powiemy o sobie sami?

Do upowszechnienia.

„Gazeta Polska“ w celu ostrzeżenia ludzi zbyt pohopnych do rzucenia kawałka chleba i szukania fortuny za górami, przytacza list, odebrany w dniach ostatnich, a wysłany w Lutym roku bieżącego z Selengińska w Syberyi. List podaje ceny produktów spożywczych, mieszkania i różnych artykułów niezbędnej potrzeby. Są to ceny bardzo wysokie z wyjątkiem jednych tylko ryb, które w okolicach nadrzecznych płacą się od 5 kop. i zwierzyny w stronach lesistych także niezwyczajnie taniej. Aż nadto jednak przeważa tu drożyzna innych surogatów pożywienia, i tak: funt chleba kosztuje 5 kop. — funt mięsa od 10 do 18 kop.—masła świeżego 90 kop. — cukru 30 kop. — kwarta mleka płaci się kop. 15—funt mąki pszennej 10 kop. Z innych artykułów zastanawia wysoka cena nafty i świec, a o zbytkach takich, jak owoce, konserwy, nikt z ludzi średnich funduszów nie myśli nawet w tym kraju; rzecz tak codzienna u nas np. jak cytryna, kosztuje tam od 15 do 20 kop. Opłata służby, gdy ją kto chce mieć, wysoka, a jej wyrobienie przedstawia niezmiernie wiele do życzenia; najniezbędniejsze meble i naczynia kuchenne dla tych, którzy przyjeżdżają tu z rodzinami, potrzeba opłacać bardzo drogo, nie mówiąc, że kształcenie dzieci stanowi zadanie, które i najodważniejszemu może odebrać animusz, skoro tylko uznaje potrzebę tego kształcenia. Jednem słowem dobrze niechaj się namyśla każdy, komu te projekty raz weszły do głowy, bo tak niby powiedzieć sobie: zrobię majątek i powrócę, jest to oddawać się illuzyom, bo widoki materyalne, bo same pensye i spodziewane wynagrodzenia bynajmniej do znacznych nie należą.

Złożyli na sanatoryum

dla suchotników:

Haładyk Henr., Reni Bes.	rs. 3.75
Romanowicz A. z Gurowa	—50
Dobrowolska	—50
Tabonowska	—50
Andrzejewski	—25
Breszel Helena st. Antoniny	—75
Razem rs.	6.25

Wskazówki i rady.

Podpuszka.

Podpuszka jest to żołądek cielęcy wysuszony, a następnie moczony, a płyn wynikły z moczenia zowie się podpuszką.

Wziąść żołądki cieląt, które dotąd tylko ssały, a opłókawszy je dobrze, włożyć na trzy lub cztery dni w roztwór soli. Po wyjęciu rozciągnąć jak można najlepiej i powiesić w przewiewnem miejscu, aby uschły aż do stwardnienia zupełnego. Tak wysuszone żołądki można lat parę przechowywać. Biorąc do użytku, namoczyć jedną trzecią część takiego żołądka, pokrajanego drobno, w pół szklance serwatki na 24 godzin. Płyn ten wystarcza do ścięcia czterech garncy świeżego słodkiego mleka; do zbieranego dosyć jest czwartą część namoczyć. Gdy się mleko świeże szybko nie zsiada, można go ogrzać na wolnym ogniu, lecz wtedy trzeba pilnować, aby się nie zanadto rozgrzało, bo zwarzyłoby się, co innego zaś jest, gdy się zsiądzie, a co innego, gdy się zwarzy. Wlawszy serwatkę, w której moczyła się podpuszka, do mleka, trzeba je należycie wymięszać, a potem przykryć, zostawiając w spokoju. W dziesięć minut powierzchnia okaże się ścisłą, wtedy ją łyżką nakrawać, a przez szpary pokaże się serwatka, co jest znakiem, że można twaróg w płótno lub w formy wylać.

Podpuszki nie bywa w handlu, można ją tylko dostać w fabrykach serów.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i Panorama Mód.

Pończochy i skarpetki czarne i kolorowe.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 55,

otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Płócienka, Satynki, Batysty, Zefiry, Kretony, Dryliszki na ubrania męskie, dziecinne i liberyjne.

Firanki.—Dywany.—Portyery.—Materyały meblowe.

Gotowa bielizna męska i damska.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Próby i cenniki odwrotną pocztą, franco. 41

Pończochy i skarpetki czarne i kolorowe.

Fabryka Parasoli i Tokarstwa

H. KIEFFER i S-ka 33

w Warszawie, Bielańska Nr. 4, drugi dom od Senatorskiej

Poleca wybór parasolek i parasoli. Wykonywa obstalunki, pokrycia i reperacye.

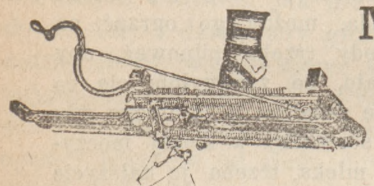
Senatorska 37, pałac ordynata hr. Zamoyskiego.

NOWO-OTWORZONY

Skład Kapeluszy Słomkowych

z Fabryki „Psary" hr. Łubieńskiego i Szwedego, przyjmuje hurtowe obstalunki na kapelusze słomkowe t. zw. szwajcarskie i z plecionek w różnych fasonach. Tamże wyłączna sprzedaż mebli ogrodowych z Fabryki Schlossbergskiej. 23

Senatorska 37, pałac ordynata hr. Zamoyskiego.



Maszyny Pończosznicze

znanej marki „The Berg Machine" za gotówkę i na rozpłatę. 985A-26-15

JULJAN BERG

Mazowiecka 16.

Nowootworzony skład dywanów *ul. Erywańska 14.*

p. fir. K. Kruszyński i L. Miciński

poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. — Ceny nizkie.

Sprzedaż za gotówkę i na raty. 1028-52-19

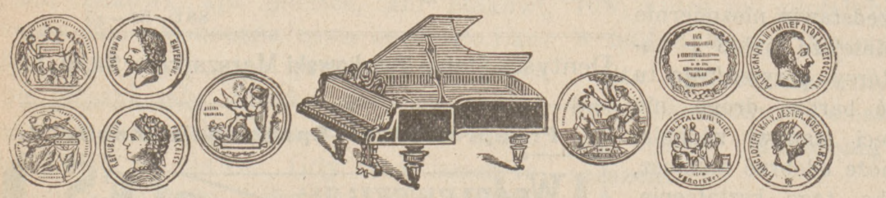
PIERWSZORZĘDNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

M. TISSERANT

MISTRZYNI CECHOWEJ

Marszałkowska Nr. 51.

Przygotowywa gruntownie na wzór paryzkiej Szkoły „Moniteur de la mode" Po ukończeniu nauki i złożeniu egzaminu w Urzędzie Starszych uczennice otrzymują świadectwa cechowe na mistrzynie i podmistrzynie. Przy szkole pensyonat z fortepianem oraz pracownia sukien i okryć. 14



MAŁECKI

Fabryka Fortepianów i Pianin

Jedyna fabryka w kraju nagrodzona medalami na wszystkich wystawach wszechświatowych 864—50—48

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

A La Parisienne

Szkoła Kroju i Szycia

oraz

Pracownia Sukien

EMILII EHRENKREUTZ

uczennicy Wortha, mistrzyni cechu, z dyplomem paryzkim. Nagrodzona Medalem na konkursie krawców w Paryżu za Krój bez poprawek i naukę szycia najpraktyczniejszą.

Warszawa, Chmielna 24, pomiędzy Bracką a Marszałkowską. 929—26—19

K. M. Schröder

Nowy Świat 24.

Skład fortepianów i pianin.

Wynajem i sprzedaż na raty.

Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.** 944—53—35

Dla Pań malujących

Farby, Przybory Artystyczno Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład

T. CZARNOCKIEGO

101, Marszałkowska 101,

w WARSZAWIE. 812-50-50

Skład towarów Żelaznych i Naczyń kuchennych 932-45-18 **I. WEISSMANN** Warszawa Graniczna 8.

Istniejący rok setny dwudziesty szósty.

Dziennik Polityczno-Społeczno-Literacki.

„Gazeta Warszawska"

z bezpłatnym dodatkiem tygodniowym p. t.:

„Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy"

Jedyny większy dziennik, wychodzący codziennie z rana i wysyłany na pocztę przed południem

jest więc pismem najwcześniej dochodzącem na prowincyę i z wielkich gazet warszawskich najtańszem.

W ciągu kwartału II r. b. będzie drukowała najnowszą powieść historyczną **Michała Synoradzkiego**, p. t.

Słońca Jagielonów

Warunki prenumeraty „Gazety Warszawskiej"

W Warszawie: rocznie **9** rubli, półrocznie rs. **4** kop. **50**, kwartalnie rs. **2** kop. **25**, miesięcznie kop. **75**. Za odnoszenie do domu **5** kop. miesięcznie.

Na poczcie: rocznie rs. **12**, półrocznie rs. **6**, kwartalnie rs. **3** — łącznie z przesyłką pocztową.

Za wiersz ogłoszenia petitem lub jego miejsce **8** kopiejek. Wiersz reklamy na **1**-ej stronie **20** kop.

ADRES: **Redakcya „Gazety Warszawskiej"**

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT № 34.

Redaktor i Wydawca ***St. Lesznowski.***

3) W ciągu roku wychodzi 353 razy.

Nowo-otworzony Magazyn Ubiorów Dziecinnych

POD FIRMĄ

SZTAM I LUZIŃSKA

Marszałkowska 150, dom W-go Hersego.

polecają na nadchodzący sezon w wielkim wyborze:

Sukienki, Ubranka dla dziewczynek i chłopców Palta, Żakiety i Płaszczyki, Bieliznę i Trykotarze, Kapelusze, Berety, Sukienki do chrztu. kompletne wyprawki itp.

Zamówienia wykonywają się podług najświeższych modeli. 43

APTEKA K. WENDY

36 45. Krakowskie Przedmieście 45. w Warszawie.

Wszelkie nowe środki lekarskie.

Wina lecznicze,

Wody mineralne.

Дозволено Цензурою Варшава 30 Марта 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Ksiądz Zefiryn równie gorąco pragnął małżeństwa wiedeńskiego panicza z hrabianką; interes Zakonu, wola rodziców Fürstemberga, którzy w zamian obiecywali Zgromadzeniu ważne przysługi, wymagały tego związku.

Atoli niebyło wątpienia — Marya, ze wstrętem przyjmowała zaloty Szambelana, bodła go złośliwie jednem często słowem, jednem spojrzeniem. Towarzystwo niemieckiego zalotnika, rozwijało w niej uczucie—nie miłości na nieszczęście, ale odrazy.

Szambelan na te drobnostki nie zważał; z przyjemnością słuchał własnych słów, rad był z samego siebie.

Ojciec Zefiryn przeczuł że zwycięztwo nieobejdzie się bez walki; na chwilę nawet odważył się zwątpić o samemże zwycięstwie. W przywidzeniach polskiej kobiety, charakter, czyli jak ksiądz nazywał, upór, grał nieraz ważną rolę; hrabiance mogło zachcieć się uporu do upadłego.

Nieprzesądzając o wnioskach, założeniu Jezuity i uwagom niepodobna było zarzucić fałszu.

Marya łatwo odgadła cel odwiedzin Szambelana - najniewinniejsze dziewczęta w takich razach mają wzrok jasnowidzący, na pierwszą atoli myśl o jego zamiarach, niemogła powstrzymać głębokiego oburzenia. Człowiek ten oczywiście, przyjeżdżał urągać jej niedoli, prozaicznem swojem obejściem ubliżał poezyi jej serca, ją samą obrażał przypuszczając że dla nędznych, ziemskich widoków, mogła zapomnieć o przepełniających ją—pomimo przeciwnych losów, uczuciach.

Przepych światowych uciech, blask wykwintnego życia stolicy, czemże były w porównaniu z jedną chwilą skojarzenia dwóch dusz godnych siebie, rozumiejących się nawzajem? W jednem, wspólnem uderzeniu serca więcej szczęścia, niż w całym wirze za złoto kupionych rozkoszy; lata samotności z lubym prędzej zbiegały, niż godziny w sztywnych wielkiego miasta korowodach. Przymus, udawanie, kłamstwo, stanowiły tło miejskiego życia—błogi zachwyt duszy można było znaleść tam wyłącznie, gdzie płonęła pochodnia czystej miłości, gdzie blask jej, jutrzanym ogniem w nieskończoność się rozpromieniał.

Znękana niepokojem, zwątlona na siłach Marya rozłożyła przed sobą zagraniczną jakąś książkę, ale wiersze niezaczepione myślą mknęły jej przed oczyma; niestarała się nawet zebrać uwagi, zajęta więcej wątkiem swoich marzeń, aniżeli opisem cudzych, choć poetycznych może, uczuć.

Powoli książka wysunęła się jej z rąk; hrabianka zapatrzona we własną duszę, utkwiła przed siebie wzrok błędny, nieruchomy,— gdy wtem ruch otwierających się drzwi, wyrwał ją nagle z zadumy.

Marya ujrzała przed sobą ojca.

Sokolnik obiegł wzrokiem lice córki; bladość jej, rysy połamane smutkiem, głucha boleść rozlana po całej postaci, w nim samym wywołały stosowny wyraz twarzy.

Siadł przy niej z czułą troskliwością, pocałował ją w czoło, i niby ojciec, niby przyjaciel i lekarz zarazem, ujmując jej rękę między swe dłonie, rzekł:

— Pusto nam i smutno na dole, moje dziecię, nie zeszłaś do nas. Niespokojny o ciebie, przychodzę. Czy jesteś słaba, — może przerywam ci jakie zajęcie?... widzę otwartą książkę.

— Nie. mój ojcze,—odrzekła pochylając usta na rodzicielską rękę; nic mi nie jest, trochę bólu głowy — to przejdzie. Nieznośny czas — deszcz; chciałam nieco u siebie wypocząć.

— Głowa cię boli?... szkoda! Byłbym pragnął pomówić z tobą o ważnych rzeczach, skoro jednak chcesz zostać samą...

Bynajmniej, mój ojcze; możemy zejść na dół natychmiast, jeżeli taka twoja wola.

Sokolnik uśmiechnął się.

— O woli mojej — rzekł z przymileniem nie masz prawa mówić; wiesz dobrze, że nie przestępuje ona progów tego pokoju. Jesteś panią w twoim domu; przyjmujesz mnie łaskawie — więcej niczego żądać nie mogę. Widzę cię smutną i nie chcę dręczyć rozmową, która w stosowniejszej chwili byłaby może mniej przykrą.

Mnie samemu, drogie dziecię nie wesoło na duszy; ja sam dźwigam na głowie trosk i kłopotów nie mało. Nie zwierzam się nikomu, nie mówię, spokojnie znoszę moje zmartwienia, ale od niejakiego czasu poczuwam, że siły mnie opuszczają. Potrzebuję znaleść przyjazne serce, ku któremu miałbym nieograniczoną ufność; przychodzę go szukać u ciebie; gdzież indziej potrafiłbym je wynaleść? Oboje znamy siebie na pamięć; oboje nawzajem o sobie jesteśmy przekonani. Jak świat długi i szeroki, nikogo nie kocham więcej nad ciebie; ty również z pochodnią nie znajdziesz szczerszego ode mnie przyjaciela. Muszę zaś przyznać, że wielce dbam o to ostatnie stanowisko; niedość być ojcem, trzeba jeszcze umieć być przyjacielem swoich dzieci, zwłaszcza, gdy te przestają już być dziećmi.

Od kilku miesięcy zaszły w domu naszym ważne wypadki. Nie wspominaliśmy o nich między sobą ani słowa; czekałem twojego wyzwania. Dziś jeszcze ust bym nie otworzył, gdyby rzecz nie tyczyła się głównie mnie i twojej matki. O naszym losie, lube moje dziecię, pragnę z tobą pomówić, jeżeli zaś wspomnę o tobie, to dla tego, że naszym losem, naszem szczęściem jest tylko twój los, twoje szczęście. — Wiele wycierpiałem.

Magnat opuścił rękę córki, wrzekomo się zadumał, jak gdyby chciał zebrać myśli; twarz jego przybrała wyraz smętny, posępny, surowy; zwiesił głowę na piersi i westchnął głęboko.

— Przypominasz sobie — mówił — nasz pobyt we Lwowie. Na nieszczęście i tobie i nam, trudno będzie o nim zapomnieć. W jednej chwili tyle zwarzonych nadziei, tyle odczarowań, tyle, jak z piorunem spadłych, boleści. Złe stało się; można było je uprzedzić — nie przeczę i gorzko sobie nieprzezorność moją wyrzucam. Ale chciałem dotrwać w moich postanowieniach. Oddawna przysiągłem sobie, że w wybór zięcia w żadnym razie nie pragnę się mięszać. Kto twoje serce zyskać potrafi, ten już tem samem naprzód moje pozyskał. Matka twoja pochwalała ten sposób widzenia rzeczy; ona również w twojej woli szukała wyroku dla swego szczęścia. Oboje byliśmy gotowi wszystko poświęcić, byle zyskać pociechę na starość, byle ciebie widzieć szczęśliwą. Wprawdzie, nie ufać tobie — nie mieliśmy żadnego powodu; od pierwszych lat przyzwyczaiłaś nas do kochania twego serca, do podziwiania rozsądku. Z zamkniętemi oczyma, jak wczoraj, tak dziś, tak jutro, przystaniemy na wszystko co postanowisz.

Drogie moje dziecię — przebacz wyrażeniu nie zgadzającemu się może z powagą praw rodzicielskich, ale powtarzam ci: opór z naszej strony przeciw jakiemu bądź twemu zamiarowi byłby niewdzięcznością. Od tylu lat przyczyniasz nam do życia tylko słodyczy, tylko pociechy.

— Mój dobry ojcze! — westchnęła dziewczyna do łez prawie ujęta słowy, w których miłość dla córki tak wdzięcznie splatała się z szacunkiem dla kobiety.

— Błogosławieństwo moje — prawił dalej Sokolnik — czekało twego wezwania. Zdawało się, że nic stanąć nie może na przekór naszym nadziejom. Ale człowiek zna tylko przeszłość, nie domyśla się jutra. Spełnienie warunków naszego i twojego szczęścia musieliśmy odłożyć na później. Związek nie przyszedł do skutku. Kto go zerwał?... nie my, nie ty, drogie dziecię; nam zarzucić tylko można ślepe zaufanie w niewypróbowaną ludzką szlachetność. On sam go zerwał, on pierwszy dla własnych widoków wyparł się zobowiązań, zdeptał najświętsze uczucia. Ach, gdyby moje tylko serce był rozranił, mógłbym mu jeszcze przebaczyć! Starajmy się zapomnieć nieszczęsny ten wypadek; udawajmy przynajmniej, że wcale o nim nie myślimy.

Na podobnych zawodach i zdradach siły powoli utracasz, i wzamian za życie, zdobywasz drogi, choć gorzki skarb doświadczenia.

Gdybyś wiedziała, jak nikczemne pobudki rządzą często ludźmi, gdybym zwłaszcza na ostatni wypadek mógł zdjąć ci z oczu zasłonę?...

— Na ostatni wypadek, mój ojcze?... czyliż nie wiem o wszystkiem?...

— Biedne dziecię — wiesz, że pojechał i nie wrócił — nic więcej! Dla czego jednak nagle wyjechał — dla czego dotąd nie dał znaku życia?... Szczególne to postępowanie, nie bez przyczyn... Ale po co o nich wspominać? Młoda twoja dusza pełna uczucia, złudzeń, zapału, boleśnie ścisnęłaby się na widok oskarżającej prawdy. Lepiej często nie kalać czystego wzroku szpetnymi obrazy; nie każdą prawdę dobrze wiedzieć. Niebezpieczeństwo przeminęło — na co zgłębiać okiem otchłań, z której wydostaliśmy się cudem, na co wyzywać daremnie zawrót głowy?... czyliż i bez tego, nie dość już cierpień?...

— Ach nie, mój ojcze! Sam często mówiłeś, że prawdę zawsze lepiej wiedzieć. Nie lękaj się o mnie. Więcej wycierpieć nad to, czego doznałam, nie potrafię. Dziś nic mnie już dotknąć nie zdoła. Jestem skończoną — nieszczęśliwszą być nie mogę. Mów, mój ojcze!

— Nie nalegaj na mnie, wiesz, że odmawiać ci nie umiem; nie przeczuwasz co cię czeka. Musiałbym wprzódy mówić długo o sobie, o moich interesach, o materyalnem położeniu, jednem słowem o rzeczach dla ciebie nudnych, nieznośnych, a które mnie tylko obchodzą.

— Ciebie tylko, mój ojcze?... czyliż między nami wszystko nie jest wspólnem — jeżeli ty masz zmartwienia, czyliż one mnie w niczem się nie tyczą?... Tembardziej upominam się o moją część; smutne rzeczy z prawa do mnie należą.

— Luba moja córeczko — przy tobie nieszczęście nigdy nie będzie zupełnem, nie zrówna ono nawet pociesze, jaką przynosisz. Jesteś u siebie — rozkazujesz; słuchaj więc:

Dziad twój, przodkowie nasi, przekazali nam klejnot rzadkiego blasku, ale jak na dzisiejsze czasy, ciężki do dźwigania. Ród nasz wymagał po nas nieustannych ofiar. Trzeba było godnie utrzymywać zaszczyt nazwiska, trzeba było wspomagać, żywić tłum ludzi nawykły do przytułku w pańskich domach.

Pełniłem święcie obowiązek, rodzice moi zostawili mi świetny tytuł i nadwerężony majątek. Mogłem był żyć nędznie i odwlec straszne rozwiązanie. Miałem córkę; postanowiłem nie szczędzić ofiar, poświęcić ostatek, ale przynajmniej wychować ją, jak przystało na ostatnią dziedziczkę znakomitej rodziny.—Ufałem w Bożą pomoc. - Napróżno!...

Długo taiłem przed światem rzeczywistość naszego położenia. Ludzie znający z historyi pamiętne dostatki naszej rodziny, nie przypuszczali, aby takowe mogłyby kiedyś się wyczerpać; uważali mnie za bogatego.

We cztery oczy powiem ci całą prawdę; ostatni chłop bogatszym jest od nas. Nic nie mamy!

Nieprzewidziane wypadki zniszczyły nas do szczętu!

— Wielki Boże!...

— Słuchaj dalej. Ziemia ta, ogród, pałac, sofa na ktorej siedzisz, nic już do nas nie należy. Dzięki moim zabiegom i trudom potrafię na kilka jeszcze miesięcy przeciągnąć zwykły tryb życia. Co dalej będzie?... nie wiem, nie chcę przewidywać, Tajemnicę naszej zguby mało kto dotąd posiada. Skoro jednak prawda na wierzch wypłynie, ludzie zaczną od nas stronić, uciekać; pozrywają stosunki, przyjaźń, wyprą się wszelkich związków, odjadą i więcej nie wrócą... tak, jak on; odkrywszy przypadkiem naszą niedolę, odjechał i więcej nie wrócił. Przeląkł się naszej biedy, zwietrzył nieszczęście — prysnął jak od zapowietrzonych.

— Kazimierz, mój ojcze!... co mówisz?

— Prawdę niestety—istotną prawdę! Zadziwia cię to, przeraża?... rozumiem. Ja spokojnie wzruszam ramionami; nie darmo żyłem długo na świecie. Rzeczy to w naszym wieku i w naszem społeczeństwie zwyczajne, powszednie; co krok je napotkasz.

— Między ludźmi zwyczajnymi, mój ojcze — ale tu nie o takim mowa. Cierpienia moje do mnie należą; nikogo za nie oskarżać nie będę i nawzajem, cudzym oskarżeniom nigdy nie dam wiary. Fałszywe wieści, ludzka złość, potwarz, w błąd cię wprowadziły mój ojcze. Człowieka częściej i lepiej można odgadnąć niż poznać. Niech świat obwinia go o brak serca, o niedostatek uczucia, o zbrodnię, o wszystko, byle nie o nikczemność. Bronić go nawet nie potrzebuję.

— Jakież są więc istotne przyczyny jego postępowania?... Mów, jeśli wiesz!... słucham.

— Nie znam ich, nic nie wiem; może mój los, moja zła dola, moje własne nieszczęście... Jednych Bóg przeznacza do życia, drugich zawczasu na śmierć skazuje; nie darmo ludzie powiadają, że doty kać się skazanego, nikomu na dobre nie wychodzi.

— Drogi, szlachetny mój Aniele!.. — przerwał Sokolnik, przeczuwałem twoją odpowiedź, odgadłem każde niemal jej słowo; innej żądać po tobie byłoby szaleństwem. Czyste, cnotliwe twoje serce nie rozumie i nie przypuszcza wyrachowań; fala światowego zepsucia nie śmiała podpłynąć po twoje stopy.

Żałuję, że ci odkrywam niepotrzebnie szkaradną tajemnicę, ale sama żądałaś. Wreszcie boleść, jaką ci sprawiam, może i korzyść po sobie zostawi. Wkrótce czekają nas cięższe przeprawy; nie nadto nam będzie nadludzkiej wytrwałości. Wszystkie cierpienia zwalą się na nas ryczałtem.

Po tylu latach życia, mało użytecznego dla siebie—wiele dla drugich, za nagro doczekałem się zatraty! Znieść, walki, trudy, kłopoty, moja rzecz, ale poniewieranie... ale nędzę... ale wstyd, ale hańbę!..

— Drogi mój ojcze — nie rozpaczajmy przed czasem, nie wątpmy — może Bóg złe od nas odwróci! Jeżeli nie — kto tu mówi o wstydzie, o hańbie? Taki człowiek jak ty, z majątkiem lub w nędzy, zawsze wzbudzi szacunek. Cóż wspólnego między dostatkami a dobrocią twoją bez granic?

— Mniejsza o mnie, mniejsza o twoją matkę! starym krócej niż dłużej, zwłaszcza przy zgryzotach — ale ty, moje dziecię?...

— Ja, mój ojcze? ja śmiało spoglądam w przyszłość, będę pracować na siebie i na was. Dla siebie nie miałabym chęci ani odwagi — dla was, zdaje się mi, że znajdę niewyczerpane siły. Słyszałam nieraz i łatwo sobie wyobrażam, że spokój częściej mieszka pod strzechą niż w złoconym pałacu. Wszakże dla mnie nie szczędzono pracy, nakładów na wychowanie; ostatek poświęcano, jak sam mówisz mój ojcze, aby mnie czegoś nauczyć. Nadeszła moja kolej. Porzucimy kraj, wyjedziemy gdzie do wielkiego miasta, najmiemy skromne mieszkanie; znajdę lekcye muzyki, znajdę ich ile zechcę, czuję się na siłach pracować od świtu do nocy — bez zmęczenia, zaręczam ci — ja tak lubię muzykę!

— Ukochana moja córeczko, przestań! — serce mi krwawisz. Ja miałbym cię widzieć pracującą?.. obym nie dożył tej chwili!... Zdaleka tylko znam świat pracowniczy, ale to, com w nim spostrzegł, wystarcza na zdjęcie mnie rozpaczą, gdy pomyślę o strąceniu cię w jego otchłanie. Różowe twoje ułudy wkrótce ustąpiłyby przed straszną, przerażającą prawdą. Kto chce na życie pracować, ten więcej żyje upokorzeniem niż zarobkiem.

Młoda twoja wyobraźnia kwiaty tylko spostrzega; na ciernie rzuca tęczowe zasłony. Gdybyś mogła przejrzeć rzeczywistość, pierwsza wzdrygnęłabyś się ze zgrozy.

— Mój ojcze!...

— A jednak — zaczął po chwili Sokolnik — przyszłość twoją i naszą masz w rękach; jednem słowem możesz otworzyć sobie byt blasku, zaszczytów, godności, uciech, o jakich drugiej kobiecie w naszym kraju nie wolno zamarzyć. Świetny związek, stosowne małżeństwo, powróci cię w świat, do jakiegoś stworzona, nam pozwoli opuścić okolicę, ze wszech miar dla nas niestosowną. Cudowna ta przemiana w jednej chwili da się uskutecznić. Niebo zsyła nam zbawienie.

Człowiek zacny, spokrewniony z pierwszymi domami Cesarstwa, z nieposzlakowanym honorem — rozumiesz mnie, moje dziecię?... z nieposzlakowanym honorem, kochający cię nad życie, świetnie wychowany, czeka z ust twoich jednego wyrazu...

— Odemnie?... czeka!... nikogo nie widzę.

— Szambelan...

— On!... ach czyliż i bez tego nie jestem dość nieszczęśliwa?

— Mówił mi o tobie z wyrazem głębokiego przywiązania; oświadczył się.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zmiana Adresu!! **Mazowiecka № 5.** 935-25-19 **ST. PRZEZDZIECKI,** Przeniósł Magazyn Ubiorów dziecięcych, oraz Ubrań dla Uczniów ***na Mazowiecką Nr. 5.*** Zmiana Adresu!! **Mazowiecka № 5.**

PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

Nauce i Rozrywce Młodzieży Poświęcone.

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część illustracyjna bogata i bardzo starannie opracowana.

Premium bezpłatne książka.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1, rocznie rs. 4. Na prowincyi kwartalnie rs. 1 k. 25, rocznie rs. 5.

Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.**
Warszawa, Chmielna 26.
Na żądanie wysyłają się numera okazowe.

Prospekt na rok 1899.

„GAZETA POLSKA“

Dziennik polityczny, społeczny i literacki wychodzi w Warszawie przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

„Gazeta Polska“ od roku zeszłego daje prenumeratorom swoim **stale** jako

Bezpłatny dodatek Tygodniowy

Co tydzień książkę.

W ten sposób każdy prenumerator „Gazety Polskiej“ otrzymuje od nas

COROCZNIE

52 tomy książek darmo.

Wydawnictwo takie odpowiada potrzebom **rodzin**, którym obok pisma codziennego, tale dostarcza bez kosztu zdrową lekturę książkową, zapoznającą zarówno z ruchem literatury współczesnej, jak z arcydziełami dawniejszej.

Bezpłatny | COROCZNIE | 52 tomy | Darmo | ***Dodatek***

Tom tygodniowy dodatku rozsyłany jest **bezpłatnie** wszystkim prenumeratorom zarówno w Warszawie jak na prowincyi. Obejmuje on **dziesięć arkuszy** druku i ma za treść co tydzień inny **utwór wybitny,** bądź oryginalny, bądź tłómaczony. **Przejdziemy kolejno wszystkie literatury europejskie i damy czytelnikom naszym kolekcyę dzieł interesujących.** Po kilku latach każdy nasz prenumerator stanie się **posiadaczem własnej bogatej biblioteki.**

Bezpłatny | COROCZNIE | 52 tomy | Darmo | ***Dodatek***

Dotychczas, t. j. od rozpoczęcia wydawnictwa w Październiku roku zeszłego, weszły do niego dzieła następujących pisarzy: **H. Adersen'a, Józefa Bliziaskiego, J. Breton'a, Artura Gruszeckiego, E. Goncourt'a, Klementyny z Tańskich Hofmanowej, T. T. Jeża, Stanisława Kozłowskiego, Jana Lama, J. Lie, Ireny Mrozowickiej, Tadeusza Padalicy, E. Rostanda** (przekład M. Konopnickiej i Wł. Zagórskiego). W druku dzieła: **St. Pileckiego, Goethego, Maryi Konopnickiej.**

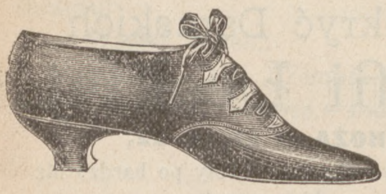
W wyborze materyału literackiego do naszych dodatków książkowych dopomagają nam pp,

Zyg. Gloger, Kaz. Kaszewski, i Ign. Matuszewski.

CENA „GAZETY POLSKIEJ“ wraz z Bezpłatnym Dodatkiem Tygodniowym. **W Warszawie:** Rocznie 9.60, półrocznie 4.80, kwartalnie 2.40, miesięcznie kop. 80. Z odnoszeniem do domu. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rs. 12, półrocz. rs. 6, kwart. rs. 3.
CENA OGŁOSZEŃ w „Gazecie Polskiej:“ Za wiersz petitowy lub jego miejsce na czwartej stronie za pierwszy raz kop. 10, za następne po kop. 8. Za wiersz petitowy reklamy na trzeciej stronie kop. 15. Za wiersz petitowy na pierwszej stronie kop. 30. Nekrologii wiersz kop. 15. 25

Redaktor i Wydawca **Jan Gadomski.**

Adres: Warszawa, Warecka 14.



MAGAZYN
Obuwia Damskiego i Dziecinnego
W. Garnuszewskiej
w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 5.
911-25-22

WYŚMIENITE
i
udelikatniające
MYDŁO TATRZAŃSKIE
WYŁĄCZNA WŁASNOŚĆ
WARSZAWSKIEGO LABORATORYUM CHEMICZNEGO
Z ZAPACHAMI
Fijołka, Konwalii, Buk. Tatra i Róży
Cena kawałka 15 k., najwyższy gatunek 25 k. i 45 k.
Dostać można we wszystkich ważniejszych perfumeryach.
32

M. SPINKA

KRAWIEC WOJSKOWY

róg Nowego Światu wejście od Ordynackiej **№ 15,**

wykonywa starannie i gustownie w najkrótszym czasie bez zawodu wszelkie umundurowania **Wojskowe, Urzędnicze,** jak również **Studenckie i Uczniowskie** po cenach możliwie nizkich. 26



AKCYJNE TOWARZYSTWO
Fabryki Mebli Wiedeńskich
JAKÓBA i JÓZEFA KOHN
Warszawa, Plac-Teatralny № 11.
Poleca
wielki wybór najgustowniejszych i najelegantszych mebli wiedeńskich,
mianowicie:
MEBLE ZWYCZAJNE, MEBLE FANTAZYJNE, MEBLE BUDUAROWE, MEBLE GABINETOWE, MEBLE SALONOWE i t. p. **wyplatane, wypalane, imitacya skóry w różnych kolorach i deseniach, kryte materyą, skórą, pluszem** i t. p.
Pierwsze źródło tej branży.
CENY PRZYSTĘPNE. 16

NIEZRÓWNANE, NADER PRAKTYCZNE PASY BRZUSZNE
(także pępkowe i nerkowe) zostały nowo-wynalezione i opatentowane! Są one także i elastyczne, leżą znakomicie i mogą być przez każdego za pomocą umieszczonych na nich śrubek rozszerzone, zwężone, przedłużone i obrócone, przez co też są one najdoskonalszemi pasami brzusznemi. Otrzymać je można (także po listownem podaniu miary objętości brzucha w najgrubszem jego miejscu) jedynie w Zakładzie Optyczno-Chirurgicznym **J. Drehera, Szpitalna 6.** Tamże Bandaże rupturowe elastyczne (bez sprężyn), oraz sprężynowe z pelotami gumowemi (nowość!), ściśle przylegające i nie ugniatające, Geradehaltery, Pończochy elastyczne, Przepaski ochronne damskie, Narzędzia lekarskie, Wyprawy połogowe, Irygatory, Termometry lekarskie minutowe, oraz inne, Okulary i Binokle etc. etc.—Wybór wielki. Ceny najniższe. Wysyłka pocztą za zaliczeniem. 18

Modele najnowsze. — Krój francuzki.

Wieloletnia krojczyni firmy „Aux Quatre Saisons“ otworzyła Magazyn i ***Pracownię Gorsetów***, pod firmą

„CONCORDE“

Ś-to Krzyzka 5 (od Nowego Swiatu).

Krój francuzki.—Modele najnowsze. 36

Pracownia wyrabia: gorsety hygieniczne, gorsety do prostego trzymania się, gorsety dla ułomnych, gorsety dla dorastających panienek, gorsety do jazdy konnej i do jazdy ***na rowerze***, oraz gorsety dla Panów.

Ceny możliwie nizkie. — Zamówienia wykonywają się w ciągu 24 godzin i mogą być wysyłane za zaliczeniem.

Sprzedaż dozwolona na ogólnych zasadach handlu.

„Eau Végétale“ (Woda roślinna)

najlepsza i najpewniejsza do farbowania siwych i rudych włosów na kolory szatyn, brunet, i czarny.—**„Eau Végétale“** zaraz po jednorazowym użyciu, zamienia osiwiałe włosy na kolor pierwotny. nie brudząc ciała ani bielizny, nadając włosom kolor naturalny i trwały. — **„Eau Végétale“** jest jedyny środek najsolidniejszy i najradykalniejszy przeciw siwiznie. Cena kompletu rb. **2** k. **50** bez szczotek i pudełek rb. **2.**—Za przesyłkę pocztą kop. 50 drożej. Osoby wypisujące raczą nadesłać prubkę swoich włosów, co mi da możność wysłania najstosowniejszej farby. 38

SKŁAD GŁÓWNY u T. MARKOWSKIEGO

Bielańska № 2, w Warszawie.